

skrętnie urządzeniem mieszkania, zaniechawszy zupełnie uczęszczania do klubów.

Raz wieczorem wrócił Stuart do domu nieco wcześniej niż zwykle, bo miał się udać do Durandów na herbatę. Właśnie co zrzucił z siebie ubranie kobiece po wizycie u Braundmardina, gdy niespodzianie zjawił się u niego Arteveldt.

— Co się z panem dzieje? — zapytał jeszcze w progu. — Nigdzie pana nie widuję. Mówił mi Fergus, że pan teraz bywa niemal codziennie u Durandów.

Stuart słuchał tego z niemałym zdziwieniem, bo sobie nie miał wytlomaczyć, skąd Fergus o tem wie, skoro tam nie bywa. „Trzeba się mieć na baczności“, pomyślał. „To opiekowanie się Fergusą moją osobą, jest mi bardzo podejrzane“.

— Rzeczywiście panie Arteveldt, od czasu pańskich zaręczyn nie widzieliśmy się podobno. No, i bardzo pan szczęśliwy? Może mi pan zechce przedstawić swojej narzeczonej? Muszę sobie koniecznie wybrać jakiś wieczór i spędzić go u Ruthvenów, żeby się pannie Ardyn przedstawić.

— Bardzo mi to pochlebiało — odpowiedział Arteveldt z niejakim zakłopotaniem — ale moja narzeczona stanowczo zażądała, abym przyjaciół i znajomych nie przedstawiał wcześniej, aż po ślubie. Właśnie przybywam zaprosić pana na ślub i wesele i to już za trzy tygodnie.

— Tak przedko?

— Ach panie, dla mnie i to za długo. Wynająłem już dom w najpiękniejszej dzielnicy i urządzam go po królewsku. To mię cokolwiek dziwi że moja narzeczona domaga się zbytku i wykwinu, czego się po paniencie skromnej i nieposażnej nie było można spodziewać. Chociaż mię to dziwi, jednak nie odmawiam jej niczego i zaspakajam wszystkie kaprysy. Nasze mieszkanie będzie niezawodnie najwspanialsze w całym mieście. Musi je pan jak najprędzej zobaczyć.

— A czy mama pańska już się z tem pogodziła? Przypominam sobie, że było matki pańskiej gorącym życzeniem, żeby się pan ożenił z panną Durand.

— Istotnie, matka moja sobie tego życzyła, ale ja nie miałem wcale zamiaru żenić się z panną Laurą. Jednak skoro już o tem mowa, będę miał prośbę do pana. Pan już na takiej przyjacielskiej stopie u Durandów, że to nie będzie niewłaściwe, jeżeli pan od niechcenia wybada pannę Laurę, co też ona myśli i mówi o mojem małżeństwie z panną Ardyn.

— Cóż panu na tem zależy?

— Ot tak, właściwie nic — jękał się Arteveldt — ale bądź co bądź bywałem tam częstym gościem, uważano mię za przyjaciela.

— A świat uważał pana za narzeczonego — dodał przerywając Stuart.

— Mylnie, mylnie, jak już panu tyle razy mówiłem. Ale niech się pan dowie, bardzo proszę. Ot, tak od niechcenia, w rozmowie obojętnej. A teraz, ponawiam zaproszenie na ślub i wesele.

Arteveldt wyszedł, a Stuart zastanawiać się zaczął nad tem, dlaczego właściwie do niego Arteveldt się udał z prośbą o wybadanie panny Durand.

Przebrawszy się poszedł do Durandów, gdzie go już z upragnieniem wyczekiwano, bo istotnie stał się tam ulubieńcem całego domu.

— Czy pani widziała już narzeczoną Arteveldta? — zapytał Stuart Laury obojętnie.

— Nie miałam tej przyjemności — odpowiedziała Laura na pozór obojętnie, a jednak z przekąsem. — A pan?

— Także nie.

— Właściwie należało mi być drużką — mówiła Laura dziwnie się śmiejąc, — boć to przecie pan Arteveldt bywał u nas tak częstym gościem, że należał już jakby do rodziny.

— Widziałem dziś Arteveldta; opowiadał mi, jak po królewsku urządza mieszkanie.

— Skoro majątek mu na to pozwala, dlaczegoż sobie nie ma na to pozwolić?

Tę udaną obojętnością nie dał się Stuart wy-

wieć w pole, bo wyczytał i z oczu i z twarzy panny Durand, jak bardzo wysiła się na to, aby ukryć zazdrość i żal.

„Takie tłumione wulkany wybuchają strasznie“, myślał Stuart. „Wygląda mi to na początek jakiegoś dramatu“.

* * *

Matka Arteveldta ani mówić sobie o tem nie dała, aby syn mógł się ożenić z jakąś zupełnie obcą, biedną dziewczyną nieznanego pochodzenia.

Raz nawet było bardzo przykre starcie matki ze synem, gdy pani Arteveldt oświadczyła, że się uda do „owej podstępnej intrygantki“, która jej syna zbałamuciła i wręcz jej oświadczy, że jej nigdy za synową nie uzna.

Arteveldt, wiedząc że matka zawsze to wyko- nuje, co postanowi, wyprawił natychmiast do narzeczonej posłańca z następującym listem:

„Najdroższa Leonoro! Matka moja sprzeciwia się naszemu małżeństwu i pragnie cię osobiście nakłonić do tego, abys się mnie wyrzekła. Nie daj

nora zimna, poważna. Ukłoniła się uprzejmie, ale z książeczą dystynkcyą. Pani Arteveldt nie spodziewała się tego wrażenia, jakie Leonora na niej wywarła. Musiała przyznać, że narzeczona jej syna jest postacią niepospolitą, majestatycznie piękną, mającą w swej postawie jakąś siłę, która do uszanowania zmusza.

— Panna Leonora Ardyn?

Leonora skłoniła głowę.

— Jestem matka Franka Arteveldta.

— Domyślałam się tego — rzekła Leonora zimno, obojętnie.

— Przybywam tutaj, aby pani osobiście oświadczyć, że jestem stanowczo przeciwną małżeństwu mojego syna z panią.

— Mogę nę! tem tylko nbolewać — mówiła Leonora chłodno i z lekceważeniem.

— Więc miałabyś pani odwagę poślubić mego syna bez mego zezwolenia?

— Tak pani.

— I chcesz się pani wedrzeć między matkę i syna? Chcesz zdeptać mój spokój rodzinny?

Znasz mego syna zaledwie kilka tygodni, więc go pokochać nawet nie miałaś czasu, a miłość tylko udajesz.

— Mylisz się pani. Miłości nie ndawałam i nie udaję i stanowczo oświadczam, że syna pani wcale nie kocham.

To był cios dla matki niespodziany, a strasznie dotkliwy. Poczerwieniała z gniewu, ale się powściągnęła od wybuchu.

— Skoro się odemnie dowie o tem, coś pani w tej chwili powiedziała, wyrzeknie się nierozważnych postanowień.

— I teraz mylisz się pani.

— Jesteś pani zbyt pewną siebie. Chociaż Frank jest moim jedynym synem, jest jedynym szczęściem mojem, chociaż go kocham najtękniejszą miłością macierzyńską, przecież zdołam mu się sprzeciwić. Na to małżeństwo nie zezwolę nigdy. Słyszysz pani: nigdy, powiadam. Pani polniesz na majątek mojego syna i omotałaś go zreczną kokieteryą. Jeżeliby się odważył ożenić, noga pani w domu moim nie postoi nigdy i nigdzie w towarzystwie nie będziesz się mogła pokazać.

— Ani mnie to nie wzrusza, ani nie zastrasza. co pani w tej chwili powiedziała. Czy pani się zgodzi lub nie, to dla mnie zupełnie obojętne i żoną pana Arteveldta zostanę. Powiedziałam pani, że go nie kocham, bo ten wyraz miłość za słaby, aby nim określić to, co uczuwam dla pani syna. Majątku jego wcale nie potrzebuję, jak się pani o tem wkrótce przekona.

Leonora mówiła zimno, stanowczo, z odcieniem sarkazmu, ale tak spokojnie, że matka Arteveldta aż się ugięła pod siłą tego spokoju. Czuli, że jej gniew, że jej ton niegrzeczny, są niedołączną bronią wobec takiego przeciwnika jak Leonora. I to ją

upokarzało, a upokorzenie drażniło coraz bardziej. Więc jeszcze niecierpliwiej odpowiedziała:

— To puste słowa moja pani. Nikt temu nie uwierzy; przechwałki nawet zuchwałe. Sądzi się pani, że niemi prawdę zasłonię? Nietylko nie zezwolę na to małżeństwo, ale nawet mu przeszkodzę.

— To się pani nigdy nie uda — odpowiedziała Leonora i zlekka zaczęła się podnosić z fotelu.

Arteveldtowa, spos rzęglszy ten ruch, zrozumiała, że Leonora dalszych niegrzeczności słuchać nie zechce i że ją samą w salonie zostawi. Nie chcąc się narażać na takie upokorzenie, powstała przedko, pożegnała Leonorę wymuszonym skinieniem głowy i wyszła.

Przez kilka dni wysilała się Arteveldtowa, a żeby syna odwieść od małżeństwa. Nie pomagały atoli ani groźby, ani zakłęcia, Frank był niezachwiany w postanowieniu. A żeby zakończyć wszelkie dalsze dyskusye, rzekł pewnego razu bardzo stanowczo:

(Ciąg dalszy nastąpi.)



— Panie Arteveldt! — to było niegodziwie!

się zachwiać; matka moja widząc twoją stanowczość, w końcu się zgodzi. Zresztą jestem zupełnie niezawisłym, posiadam własny majątek, więc nie potrzebujesz się lękać niedostatku. Prawdopodobnie matka moja jeszcze dziś będzie u ciebie; bądź więc przygotowaną. Twój wierny aż do śmierci Frank“.

Leonora przeczytała ten list z pogardliwym uśmiechem i wrzuciła go w ogień.

O godzinie piątej zatrzymał się wspaniały ekipaż przed domem Ruthvenów i dumna wykwintnie ubrana pani Arteveldt weszła do mieszkania.

— Czy mogę się widzieć z panną Leonorą Ardyn? — zapytała wyniosło.

Pokojówka wprowadziła ją do saloniku.

Przypatrywała się wdowa po milionerze temu salonikowi z politowaniem i lekceważeniem. Była pewna, że Leonora natychmiast zjawi się w salonie, dowiedziawszy się o jej przybyciu, ale upłynęło już dziesięć minut, a „owa intrygantka“ jeszcze się nie pokazała.

To było za wiele dla dumnej kobiety i wprowa- wiąło ją w takie rozdrażnienie, że była gotową do wybuchu niegrzeczności.

Aż wreszcie drzwi się rozwarły, weszła Leo-